

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI

**PRZEZ KRAJ LUDZI,
ZWIERZĄT I BOGÓW**

(KONNO PRZEZ AZJĘ CENTRALNĄ)

10–13 TYSIĄCE

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2002**

Tej,

*którą spotkałem niegdyś na brzegu „wielkiej,
lazurowej, słonej wody” u stóp piętrzących się
czerwonych skał, a dla której przechowałem
wierną miłość do dnia, gdy stała się moją*

Eleer-Bałasyr,

*owianą legendami prastarego Erdeni-Dzu,
poświęcam
tę opowieść o swojej męczeńskiej włóczędze
przez serce tajemniczej, obudzonej Azji.*

Ant. Ossendowski.

Warszawa, 1923 r.

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZEZ KRAJ KRWI I PRZEZ KRAJ WIECZNEGO POKOJU

PRZYCZYNY MOJEJ PODRÓŻY.

Przed nawałnicą bolszewicką musiałem uchodzić z Petersburga na Syberję jeszcze w r. 1918. Do stycznia r. 1920 przebywałem na Syberji, gdzie rządy bolszewickie zastąpił rząd adm. Kolczaka, zgubionego przez wpływy monarchistów i przez nieudolnych ministrów. Po katastrofie syberyjskiej, gdy Kolczak został stracony w Irkucku, gdy 5-ta polska dywizja syberyjska była już w zdradzieckich rękach bolszewików, którzy szybko zalewali kraj cały, bez boju posuwając się na wschód za resztkami zdemoralizowanej armii rządu syberyjskiego, na Syberji zaczęły się prześladowania Polaków. Wystarczyło mieć nazwisko o brzmieniu polskim, żeby być skazanym na śmierć. Musiałem więc myśleć o dalszej ucieczce.

Na początku r. 1920 los rzucił mię do Krasnojarska, miasta położonego u brzegu wielkiej i pięknej rzeki Jenisej, której źródła rodzą się w górach Urianchaju, a ujście ginie w Oceanie Lodowatym.

Z kilku Polakami układaliśmy plan ucieczki do Urianchaju i dalej – do Mongolji, Chin, Europy... lecz wypadki zmieniły nasze zamiary. Znajomi moi zostali aresztowani i umarli na tyfus plamisty w więzieniu, a grupa katów bolszewickich przybyła po mnie i, wypadkowo nie zastawszy mnie w domu, uczyniła na mnie zasadzkę.

Uprzedzono mię w porę. Przebrawszy się w ubranie wieśniacze, wyszedłem pieszo za miasto, wynająłem pierwszego lepszego Sybiraka, powracającego na wieś do domu, i po kilku godzinach byłem już o 40 kilometrów od Krasnojarska, w małej wsi, otoczonej ze wszystkich stron gęstym lasem syberyjskim, czyli, jak go nazywają chłopci miejscowi – „tajgą”. Tu przyjaciele przysłali mi karabin, 300 naboí, siekierę, nóż, kozuch, herbatę, suchary, sól i kociołek. Po kilku dniach ten sam chłop odwiózł mię w głąb lasu, gdzie stała porzucona przez właściciela chata, na wpół spalona, lecz używana jeszcze na nocleg przez miejscowych myśliwych. Od onego dnia stałem się pierwotnym człowiekiem, lecz nie przypuszczałem wtedy, że to może potrwać tak długo.

Nazajutrz po przybyciu do tajgi, wyszedłem na polowanie i o kilkadziesiąt kroków od chaty zabiłem dwa olbrzymie głuszce. Dalej spostrzegłem ślady jeleni i przyszedłem do przekonania, że braku pożywienia odczuwać nie będę.

Jednak pobyt mój w tem miejscu został raptownie przerwany.

TAJEMNICZY PRZYJACIEL.

Powracając po kilku dniach z polowania do schroniska, spostrzegłem dym, wychodzący z komina, chaty. Z wielką ostrożnością skradając się do domu, zauważyłem dwa osiodłane

konie, a przy siodłach żołnierskie karabiny. Zorientowałem się odrazu, że dwaj nieuzbrojeni ludzie nie mogą dla mnie stanowić poważnego niebezpieczeństwa, gdyż posiadałem doskonały Manlicher. Niepostrzeżony obszedłem chatę od strony tej ściany, która nie miała okien, i nieoczekiwanie wszedłem do izby. Z ławki z przerażeniem porwało się dwóch żołnierzy. Byli to bolszewicy, gdyż na barankowych kołpakach mieli umocowane czerwone gwiazdy, a na piersiach kożuchów – czerwone, brudne kokardy.

Po powitaniu usiedliśmy. Żołnierze zdążyli już przyrządzić herbatę i, popijając ją, wszczęliśmy rozmowę. Żeby odwrócić od siebie ich uwagę i podejrzenie, opowiedziałem, że jestem myśliwym z pewnej dalekiej wioski i że tu zamieszkał, gdyż od dawna już wytropiłem kilka gniazd soboli. Od bolszewików zaś dowiedziałem się, że z miasta posłano do tajgi wielki oddział jazdy, który zatrzymał się stąd o 15 kilometrów, ich zaś wysłano na wywiad, aby sprawdzili, czy nie włóczą się po lasach jakieś podejrzone osobistości.

– Pojmujesz, towarzyszu, – rzekł jeden z żołnierzy – że szukamy kontrrewolucjonistów i że będziemy ich rozstrzeliwali...

Lecz ja domyśliłem się tego już od dawna i nie potrzebowałem bynajmniej jego wyjaśnień. Myśli moje były skierowane ku temu, aby przekonać nieproszonych gości, że jestem zwykłym myśliwym syberyjskim, nie mającym nic wspólnego z kontrrewolucją. Jednocześnie myślałem o konieczności natychmiastowego przeniesienia się po odjeździe bolszewików w inne, bardziej bezpieczne miejsce.

Zapadał wieczorny zmrok. Twarze moich gości stały się jeszcze mniej pociągające. Żołnierze wyjęli z torby butelkę spirytusu i zaczęli pić, zakąsując chlebem i popijając gorącą herbatę. Alkohol szybko działał, i bolszewicy, wymachując rękoma i uderzając pięściami w stół, zaczęli głośno rozmawiać, przechwalając się ilością zabitych „burżujów”. Śmiejąc się ohydnie, opowydali sobie wzajemnie o wesołych dniach w Krasnojarsku, gdy wyłapywali zniechędzonych kozaków i spuszczały ich pod lód Jeniseju. W końcu żołnierze zaczęli się o coś spierać, lecz prędko ich to znużyło i powoli zabierali się do snu.

– Pójdę już konie rozkulbaczyć i przyniosę karabiny – rzekł młodszy i, przeciągając się, podniósł się z ławki.

W tej chwili drzwi, prowadzące na dwór, szeroko się rozwarły; do izby wpadły gęste obłoki mroźnej pary, i prąd zimnego powietrza wionął na nas. Gdy mgła opadła, zobaczyliśmy w izbie wysokiego barczystego chłopca w kosmatej barankowej czapie i w szerokim kożuchu. W ręku trzymał karabin, a z poza pasa wyglądała ostra siekiera, z którą Sybirak – myśliwy nigdy się nie rozstaje. Bystre, przenikliwe, połyskujące, prawie zwierzęce oczy nieznajomego badawczo zatrzymały się na każdym z obecnych. Po chwili zdjął czapkę, przeżegnał się i cicho zapytał:

– Kto tu gospodarz?

– Ja! – odezwałem się.

– Czy mogę przenocować? – spytał.

– Proszę, miejsca dość – powiedziałem. – Napijcie się herbaty, jeszcze gorąca.

Nieznajomy tymczasem zaczął powoli zdejmować kożuch, nie przestając obserwować ludzi i przedmioty. Rzucił kożuch w kąt izby, przykrywając nim karabin, i pozostał w wynoszonych skórzanych kurcie i spodniach wsuniętych w długie wołokowe buty. Twarz miał zupełnie młodą, drwiącą i piękną. Połyskiwały białe zęby i badawcze, przenikliwe oczy. Powichrzona, mocno przyprószona siwizną czupryna i głębokie zmarszczki dokoła ust świadczyły o burzliwym życiu.

Nieznajomy, wciąż się rozglądając, usiadł na ławce i z jakąś szczególną pieczołowitością położył obok siebie siekiere.

– Czy to żona twoja – ta siekiera? – pijanym głosem zapytał go jeden z żołnierzy.

Chłop powolnie podniósł na pytającego nagle zabłysłe oczy i cichym, jakimś skradającym się głosem odpowiedział:

– Różni ludziska błakają się teraz po lasach, więc z siekierą bezpieczniej...

Zamilkł i zaczął namiętnie pić gorącą herbatę. Jednakże zauważyłem, że kilka razy ostrożnie mi się przyglądał, a oczy jego ustawicznie biegały po izbie, jak gdyby szukając odpowiedzi na jakieś wątpliwości.

Na pytania żołnierzy nieznajomy odpowiadał oględnie i powolnie, a potem postawił swój kubek, wywróciwszy go dnem do góry na znak zadowolenia, podniósł się i rzekł:

– Pójdę na chwilę do swego konia, a zarazem i wasze rozkulbaczę...

– Oj, dziękuję – zawołał młodszy żołnierz, prawie już śpiący. – Nie zapomnij tylko przynieść do izby nasze karabiny...

– Dobrze! – odezwał się chłop.

Bolszewicy pokładli się na ławce, zostawiając dla nas tylko podłogę, i już nie słyszeli, gdy powrócił nieznajomy, który, rzuciwszy terlicę wojłokową na ziemię, położył się natychmiast.

Żołnierze i chłop już dawno spali, gdy ja wciąż jeszcze planowałem, co mam dalej czynić. Zasnąłem nad samym rankiem, a gdy się obudziłem, chłop już w izbie nie było. Wyszędłem z chaty i zobaczyłem, że kulbaczy dobrego gniadego żrebca.

– Odjeżdżacie? – zapytałem.

– Tak, lecz pojedę razem z tymi... „towarzyszami” – szepnął – przed wieczorem powrócę. Czekajcie na mnie!...

Nie rozpytywałem go o nic, tylko odpowiedziałem, że będę na niego czekał. On zaś tymczasem odwiązał od swego siodła dwa ciężkie wory, rzucił je przy ścianie w spalonej części chaty, uważnie zbadął uzdę i strzemiona, i rzekł z uśmiechem:

– Gotowe! Teraz pójdę obudzić „towarzyszy”.

Po godzinie, napiwszy się herbaty, żołnierze i chłop odjechali.

Pozostałem na dziedzińcu i zająłem się rąbaniem drzewa. Nagle skądś z daleka dobiegł mię strzał karabinowy, a po chwili drugi. Potem zapanowała cisza. Od strony strzałów, wysoko ponad lasem, przeciągnęło stadko spłoszonych cietrzewi. Krzyknęła sójka z wierzchołka wysokiej sosny. Długo przysłuchiwałem się, czy nie zbliża się ktoś do mego schroniska, lecz naokoło było zupełnie cicho.

Zmrok szybko zapada w zimie na środkowym Jeniseju. Rozpaliłem w piecu i zacząłem przyrządzać zupę z głuszca, nie przestając wsłuchiwać się w najmniejszy szmer, dolatujący od strony lasu. Wszakże ciągle wyraźnie czułem i rozumiałem, że śmierć jest stale tuż, gdzieś obok mnie, i że ostatecznie może zjawić się w postaci człowieka, zwierza, mrozu, nieszczęśliwego wypadku lub choroby. Wiedziałem dobrze, że w pobliżu niema nikogo, kto mógłby przyjąć mi z pomocą, i że cała moja nadzieja polega na opiece Boskiej, na sile rąk i nóg, na celności oka i pomysłowości.

Mimo całej baczności nie spostrzegłem powrotu nieznajomego myśliwca. Tak samo, jak poprzedniego dnia, zjawił się w izbie niespodziewanie. Przez mgłę pary zobaczyłem jego jarzące i śmiejące się oczy i piękną twarz. Postąpił w stronę ławki i cisnął trzy karabiny.

– Dwa konie, dwa karabiny, dwie kulbaki, dwa worki sucharów, pół cegły herbaty, woreczek z cukrem, 50 nabojów, dwa kozuchy, dwie pary butów! – ze śmiechem wyliczał Sybirak. – Doprawdy, bardzo udatne miałem dziś polowanie!

Ze zdumieniem patrzyłem na swego gościa.

– Czego się gapicie? – zaśmiał się na nowo. – Wjechaliśmy do lasu na wąską ścieżkę. Tam ich zastrzeliłem. Ani drgnęli! Na co komu tacy „towarzysze”? Ale pijmy herbatę, a później spać! Jutro musicie przenieść się na nowe mieszkanie. Ja wam pokażę ustronne i przyjemne miejsce, a sam ruszę dalej...

TAJEMNICA MEGO GOŚCIA.

Nazajutrz o świcie ruszyliśmy w drogę, porzucając moje pierwsze schronisko. Na jednego z koni władowaliśmy cały nasz dobytek, złożony w workach, przerzuconych przez siodło.

– Musimy zrobić 400 – 500 wiorst – spokojnie oznajmił mój nowy towarzysz niedoli, który nazywał się wcale nie przemawiającem do serca i rozumu imieniem Iwana.

– No, to długo będziemy jechać! – zawołałem.

– Nie dłużej, niż tydzień, a może i prędzej będziemy na miejscu – odparł Iwan.

Pierwszą noc spędziliśmy w lesie pod gałęziami wysokiego, rozłożystego świerka. Była to dla mnie pierwsza noc bez dachu nad głową. A ileż takich nocy później spędziłem w ciągu półtorarocznej mojej włóczędzy!

Dzień był bardzo mroźny, było pewno nie mniej niż 35° R. Pod kopytami koni skrzypiał śnieg. Ze szklaw dźwiękiem toczyły się, wyrwane podkowami, kawałki skrzepłego śniegu. Leniwie zrywały się z drzew cietrzewie i głuszce; nie śpiesząc się, biegły z legowisk do krzaków zające. Przed wieczorem podniósł się wiatr, huczał i szumiał, naginając wierzchołki drzew. Na dole jednak, w miejscach zakrytych od podmuchów wiatru, było cicho i spokojnie.

Zatrzymaliśmy się w głębokim wąwozie, gęsto porośniętym drzewami i krzakami. Znaleźliśmy dawno złamaną suchą jodłę, narabialiśmy drzewa i, przyrządziwszy przy ognisku herbatę, pokrzepiliśmy się.

Po kolacji Iwan przywłókł z lasu dwa długie, suche sosnowe kłocę, ściosał je z jednej strony i położył jeden na drugi płaską stroną. Wbiwszy klin pomiędzy kłocę, włożył w otwór trochę rozżarzonych węgli. Ogień natychmiast zaczął szybko posuwać się wzdłuż kanału pomiędzy kłocami.

– Teraz będzie się to paliło aż do świtu! – zawołał Iwan. – Jest to nasza syberyjska „najda”. My, poszukiwacze złota, włócząc się przez zimę i lato w tajdze, zawsze śpimy przy „najdach”. Wspaniale! Ale sami przekonacie się!

Szybko narabiał gałęzi świerku i z pomocą trzech drągów zrobił pochyloną pod kątem ścianę, przed którą, o kilka kroków, paliła się małym ogniem, wypalając się wewnątrz, „najda”. Nad tą ścianą i nad „najdą” rozpościerał się namiot z szerokich gałęzi potężnego świerka. Nakładliśmy na śnieg gałęzi i, nakrywając się terlicami, zaczęliśmy zabierać się do snu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Iwan rozebrał się do koszuli, zauważyłem, że się spocił i zaczął wycierać czoło i szyję rękawem koszuli.

– Dobrze! ciepło! – wychwalał Iwan nasze schronisko.

Wkrótce i ja byłem zmuszony zdjąć ubranie i zasnąłem, nie nakrywając się kożuchem. Chociaż przez gałęzie świerka i ściany świeciły gwiazdy, a przede mną była otwarta przestrzeń, gdzie szalały mróz i wichry – lecz ta przestrzeń była odgradzona od nas ciepłem, idącym od palącej się „najdy”. Dopiero przed świtem, gdy ognisko nasze dopaliło się prawie do końca, przykryłem się kożuchem. Od tej nocy przestałem obawiać się mrozów. Przemarzłszy w ciągu dziennego marszu, ogrzewałem się znakomicie około „najdy”, zrzuciwszy z siebie ciężki kożuch i siedząc tylko w koszuli przy kubku gorącej herbaty z sucharami.

Podczas wspólnej podróży Iwan opowiadał mi o swojej dawnej włóczędze po górach i lasach Zabajkalia w poszukiwaniu złota. Opowiadania „wiecznego włóczęgi odznaczały się wielką żywością i porywały obfitością i obrazowością niebezpiecznych przejść i ciężkiej walki z naturą i ludźmi. Iwan był jednym z tych typów „prospektorów”, którzy po całym świecie wyszukiwali najbogatsze pokłady złota, pozostając bezdomnymi i ubogimi włóczęgami. Zauważyłem, że unikał opowiadania o tem, w jaki sposób z gór Zabajkalskich dostał się do tajgi jeniisejskiej, i zrozumiałem odrazu, że tu właśnie kryje się jakaś tajemnica mego towarzysza, nie pytałem go więc o to.

Jednakże tajemnica ta wykryła się pewnego dnia zupełnie niespodzianie w całej swej surowej i strasznej rzeczywistości.

Zbliżaliśmy się już do celu naszej podróży.

Przez dzień cały przedzieraliśmy się przez gęste zarośla na brzegu wschodniego dopływu Jeniseju – rzeki Many. Wszędzie można było zauważyć liczne ścieżki, wydeptane przez zające, gnieźdzące się w krzakach. Te białe zwierzątka śmigały wszędzie, uciekając przed nami. Czasem widzieliśmy rudy ogon lisa, czającego się za kamieniami, czyhającego na zającą.

– Powiem wam coś – rzekł ponurym głosem Iwan. – Tam niedaleko wpada do Many mała rzeczka Niegniec; przy jej ujściu stoi mały domek. Jak myślicie: tam zanocujemy, czy też znowu przy ognisku spędzimy noc?

– Pojedziemy do tego domku! – zawołałem z radością. – Potrzebuję nareszcie umyć się. Przecież czarni jesteśmy od dymu „najdy”, jak murzyni! Zresztą, mieć dach nad głową jest rzeczą bardzo przyjemną!

Iwan ponuro spojrzał na mnie, lecz zgodził się.

Już mrok zapadał, gdy zbliżyliśmy się do niewielkiej chałupy, stojącej tuż przy ujściu małej rzeczki Niegniec do bystrej i zimnej Many. Domek ten składał się z jednego małego pokoju o dwóch okienkach i o wielkim piecu. Obok domku stały spalona szopa i zburzona lodownia. Kłoce i deski były powyrywane i rozrzucone w nieładzie; wszędzie można było zauważyć stosy wykopanej ziemi i kamieni.

Zapaliliśmy w piecu i zaczęliśmy przyrządzać stawę. Podczas kolacji Iwan napił się spirytusu z flaszki, „pożyczanej” od jednego z czerwonych żołnierzy, którą był upolował, i wkrótce stał się bardzo rozmownym.

Z jarzącymi się oczyma i połyskującymi zębami, wichrząc swą gęstą, siwą czuprynę, Iwan zaczął opowiadać mi o jakimś wypadku w Zabajkalju, lecz raptownie zamilkł, z przerażeniem utkwiał wzrok w ciemny kąt chaty, i szeptem zapytał:

– Co to? – szczer?

– Nic nie widziałem! – odpowiedziałem mu. Zamilkł i ponuro spuścił swą piękną, drapieżną głowę. Ponieważ nieraz w milczeniu spędzaliśmy długie godziny, nie zdziwiłem się wcale, że nie odzywa się. Lecz on raptownie pochylił się do mnie i gorącym szeptem zaczął mówić:

– Chcę wam opowiedzieć pewną historję! Miałem ja w Zabajkalju przyjaciela serdecznego. Był on zesłańcem kryminalnym. Nazywał się Gawroński. Dużo z nim razem lasów i gór zwiedziłem w pogoni za złotem. Mieliśmy umowę, że wszystko dzielimy na równe części pomiędzy sobą. Lecz nagle Gawroński znikł, i dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że jest w jenijskiej tajdze, że znalazł tam bogate pokłady złotego piasku, z bogacił się, i że mieszkał w lesie samotnie, mając przy sobie tylko żonę. Później dowiedziałem się, że Gawrońskich zabito...

Iwan znowu zamilkł, lecz wkrótce z ciężkim westchnieniem ciągnął dalej:

– To właśnie jest chata Gawrońskich. Tu mieszkał mój niewierny przyjaciel z żoną i gdzieś tu, w łożysku tej rzeczki „wymywał” złoto z piasku i żwiru, lecz nikomu tego miejsca nie pokazał. Wszyscy chłopci okoliczni wiedzieli, że Gawroński posiada kapitały w banku i że ciągle sprzedaje złoto rządowi. Tam w tej izbie Gawrońscy zostali zamordowani.

Chłop wstał, wyciągnął z pieca wielki kawał palącego się drzewa i, pochyliwszy się, zaczął oświetlać grube, ledwie ociosane deski podłogi.

– Widzicie te plamy na deskach i tu na ścianie? – zapytał drżącym od wzruszenia głosem. – Widzicie? To krew Gawrońskich... Umarli, lecz nie wydali swojej tajemnicy. A złoto było w szachcie i w lodowni zakopane w ziemi, w wielkich glinianych garnkach. Lecz Gawrońscy nic nie powiedzieli, nic, a przecież torturowaliśmy ich, ogniem paliliśmy, palce wykręcaliśmy, oczy wydłubywaliśmy... A oni milcząc, umarli.

Cisnął palące się drzewo w czerwony otwór pieca, rzucił się nawznak na ławę i zdławionym głosem mruknął:

– To opowiadali mi chłopci z tych okolic... Ale... czas już spać!

Późno w nocy słyszałem ciężkie westchnienia Iwana, cichy szept i niewyraźne słowa. Widocznie wiał się na twardej ławie i palił fajkę po fajce.

Siódmego dnia wjechaliśmy do gęstego, cedrowego lasu, rosnącego na zboczach górskich.

– Stąd – objaśnił Iwan – do najbliższej siedziby ludzkiej 80 wiorst przez błota i gęstą tajgę. Zrzadka tylko zabrniesz tu jakiś zbieracz orzechów cedrowych, ale to może się zdarzyć tylko na jesieni. Do tego czasu nie zobaczycie tu żywej duszy. Tu „zwierza” dużo, dużo ptactwa, dużo orzechów – tu można łatwo przetrwać zimę. Widzicie tę rzeczkę? Jeżeli zechcecie zobaczyć ludzi, idźcie z jej prądem, ona was doprowadzi do wsi...

Mój tajemniczy towarzysz pomógł mi urządzić norę w ziemi. Wynałazł dla mnie obalony przez burzę olbrzymi cedr. Korzenie drzewa wyrwały ziemię, czyniąc głęboki i obszerny dół. Jedną ścianę i dach tworzył pień cedru, a ściany boczne – poprzepłataną w siatkę korzenie. Uszczelniliśmy je gałęziami, umocowaliśmy kamieniami i przysypaliśmy grubą warstwą śniegu. Od przodu „dom” mój był zupełnie otwarty, lecz przed nim paliła się zbawienna „najda”. W tej to norze przeżyłem dwa najsurowsze zimowe miesiące bez ludzi, bez łączności z całym światem, gdzie w tym czasie zachodziły doniosłe wypadki. W tej mogile, pod korzeniami obalonego drzewa, w dziewiczym lesie, żyłem w obliczu natury ze swoją trwogą o bliskich mi ludzi, ze swoją męką, żyłem w ustawicznej walce o byt, o prawo przeżycia jeszcze jednego dnia.

Iwan odjechał nazajutrz, pozostawiając dla mnie worek z sucharami i kilka kawałków cukru. Już nigdy więcej nie spotkałem tego człowieka.

Pozostawił mi po sobie wspomnienia jak najlepsze i jak najcieplejsze. Doznałem od tego „zabójcy i kata Gawrońskich” dużo dowodów wielkiej dobroci, zrozumienia cudzej duszy i wrażliwości nadzwyczajnej.

WALKA O ŻYCIE.

A więc jestem samotny...

Naokoło tylko las zielonych cedrów, zasypanych do połowy pnia głębokim śniegiem, gołe krzaki, zamrożona rzeczka i – jak okiem sięgnąć przez gałęzie cedrów – ocean lasów i śniegu. Tajga syberyjska...

Jak długo będę zmuszony przetrwać w samotności? Czy znajdą mnie tu, czy nie znajdą bolszewicy? Czy moi przyjaciele dowiedzą się, gdzie jestem?

Te pytania, jak gorące ognie, bez przerwy, bez wytchnienia trapiły mnie. Bardzo prędko zrozumiałem, dlaczego Iwan prowadził mnie aż tak daleko. Wszędzie po drodze spotykaliśmy dużo głuchych, niezaludnionych miejscowości, lecz on prowadził mnie coraz dalej, powtarzając:

– Ja was doprowadzę do dobrego miejsca, gdzie żyć będzie łatwiej!

I było tak rzeczywiście. Piękność tej okolicy zawierała się w lesie cedrowym i w górze, porośniętej cedrami. Cedr – wspaniałe, potężne, szeroko rozgałęzione drzewo, wiecznie zielony namiot, pociągający do siebie wszystko, co żyje. W lesie stałe wrzało życie.

Śród gałęzi skakały wiewiórki, wyprawiając zabawne susy; przelatwały powietrzne eskadry gilów lub szczygłów, gwizdały, zaglądały do wszystkich szczelin i kątów lasu, napędzając go ruchem i żywym gwarem; przemykał się zając, a za nim ledwie dostrzegalnym na śniegu cieniem, pełznął cienki, jak wąż, gronostaj z czarnym końcem drapieżnie drgającego ogonka; również nieraz podchodził olbrzymi, szlachetny jelen – „morał” czyli „izubr”. Wreszcie zszedł z wierzchołków gór i złożył wizytę brunatny władca tajgi – niedźwiedź. Wszystko to rozrywało, odpędzało ogarniające mózg ponure myśli, świadczyło o

życiu i dodawało otuchy. Dobrze, chociaż bardzo ciężko, było czasem wejść na szczyt „mojej” góry. Wznosiła się ona wysoko ponad lasem i z jej szczytu odsłaniała się szeroka, bezgraniczna panorama tajgi z łańcuchem czerwonych gór na horyzoncie. Tam daleko był brzeg Jeniseju, tam były siedziby ludzkie, tam byli wrogowie i przyjaciele, tam... dalej na zachód, była ta, do której od długiego szeregu lat szły moje myśli...

Dlatego to właśnie przyprowadził mnie Iwan do cedrowego lasu. Sam on nieraz spędzał zimę w samotności, tylko ze swymi myślami, oko w oko z naturą, powiedziałbym – „przed obliczem Boga”. Doświadczył rozpaczliwej samotności i szukał ukojenia. Wiele razy myślałam nad tem, że jeżeli sądzono mi jest umrzeć tu, to umierając, ostatnim wysiłkiem podniosę się na szczyt i umrę, patrząc w stronę nieskończonych gór i lasów, poza którymi znajduje się najdroższa dla mnie istota, oderwana ode mnie zrzędzeniem losu.

Lecz życie w takich warunkach dostarczało dużo materiału dla myśli, a jeszcze więcej dla pracy fizycznej gdyż było ono – ustawiczną walką o byt, walką ciężką i bezwzględną.

Najcięższą pracą było przygotowanie zapasu drzewa na „najdę” i małego ogniska dla przyrządzenia stawy. Leżące drzewa były przywalone śniegiem i przymarznięte do ziemi i kamieni. Musiałem odgrzebywać śnieg, a potem zapomocą długich drągów odrywać pnie od ziemi i przesuwac do swej nory. Wybrałem sobie dla zbierania drzew stromy spadek góry. Tam było trudniej wejść, lecz zato łatwiej było staczać w stronę mego schroniska oderwane pnie. Po kilku dniach zrobiłem bardzo ważny wynalazek. Znalazłem niedaleko swej nory dużą ilość pni modrzewi, połamanych przez wichry. Gdy zacząłem je rąbać, siekiera pograżała się w coś miękkiego i lepkiego. Okazało się, że pnie były przesiąknięte smołą. Dość było iskry, aby taka drzazga wybuchała gorącym, mocno dymiącym płomieniem. Od tej chwili w moim mieszkaniu zawsze leżały zapasy tych smolnych kawałków modrzewi do rozpalania „najdy” lub ogniska dla gotowania stawy i herbaty.

Największą część dnia pochłaniało polowanie. Bardzo prędko zrozumiałem, że muszę tę czynność wykonywać codziennie, żeby bronić się od przygniatających mnie niewesołych myśli. Zwykle po herbacie porannej, siedłem ze strzelbą do lasu szukać cietrzewi lub głuszców. Zabiwszy jednego lub dwa ptaki, powracałem do domu i zaczynałem przyrządzać sobie obiad, nieodznaczający się zbytnim wyborem dań. Była więc nieodwołalnie zupa z zabitego ptaka, przyprawiona sucharami, a następnie niezliczona ilość dużych kubków gorącej herbaty – napoju niezbędnego dla życia w lesie.

Pewnego razu, podczas wycieczki po cietrzewie, usłyszałem trzask w krzakach i, uważnie zbadawszy miejscowość, spostrzegłem końce rogów jelenia. Zacząłem pełznąć w jego stronę, lecz chociaż śnieg prawie nie skrzypiał pod memi kolanami, zwierzę poczuło niebezpieczeństwo. Z łoskotem wyrwał się jelen z gęstych zarośli, i zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy przebiegłszy około 300 kroków, zatrzymał się na stromym spadku góry. Był to olbrzymi okaz o ciemnoszarej sierści i prawie czarnym grzbiecie. Na pięknej głowie dumnie niósł potężne rogi. Przede mną był krzak o grubych gałęziach; położywszy karabin na jednej z tych gałęzi, starannie wymierzyłem i dałem ognia. Zwierzę uczyniło olbrzymi skok, przebiegło kilka kroków i upadło. Przez głęboki śnieg i przez krzaki pobiegłem ku niemu, lecz jelen, spostrzegłszy mnie, podniósł się i, skacząc lub chwilami z trudem przebierając nogami, zaczął wspinać się na górę. Druga kula zatrzymała go na zawsze. Zdobyłem w ten sposób wielką ilość mięsa i doskonały kobierzec do swojej nory.

Rogi umocowałem wśród korzeni, stanowiących ściany mego schroniska, i odtąd służyły one jako wygodne wieszadło na karabin i ubranie.

Nie mogę zapomnieć pewnego bardzo porywającego chociaż dzikiego obrazu, który widziałem o kilka kilometrów od mego „domu”. Było tam niewielkie błoto, porośnięte żurawiną. Tutaj zwykle zlatywały się na jagody stadka głuszców, cietrzewi i jarząbków. Pewnego razu, skradałem się do tego błotka, kryjąc się za niewysokimi zaroślami młodych cedrów. Zobaczyłem duże stado cietrzewi, energicznie rozgrzebujących śnieg i zjadających

jagody. Kilka minut obserwowałem tę scenę, nie zdradzając żadnym ruchem lub drgnięciem, swojej obecności. Jednakże jeden cietrzew, stary, czarny kogut, nagle gwałtownie podskoczył do góry i podfrunął głośno bijąc skrzydłami. Przestraszone stado natychmiast odleciało. Ku wielkiemu memu zdziwieniu zobaczyłem, że stary kogut, przeleciawszy paręset kroków, zaczął szybko, prawie pionowo podnosić się do góry; po chwili, robiąc koziółki w powietrzu i bezsilnie bijąc skrzydłami, upadł na śnieg i pozostał nieruchomy. Pobiegłem w tę stronę, gdy wtem od ciała cietrzewia odskoczył krwiożerczy gronostaj i, wywijając ogonkiem i sycząc, skrył się pomiędzy kamieniami. Cietrzew miał przegryzione gardło. Zrozumiałem, że mały drapieżnik rzucił się na ptaka i wraz z nim uniósł się w powietrze, gdzie zdażył przegryźć mu gardło i wyssać krew. Osobiście byłem wdzięczny jego aeronautycznym zdolnościom, gdyż zaoszczędził mi naboju.

W ten sposób żyłem, borykając się z naturą o dzień jutrzejszy, coraz bardziej i głębiej trując się jadem ciężkich i beznadziejnych myśli. Płynęły dni, tygodnie, aż nareszcie poczułem powiew cieplejszego wiatru. Na otwartych polanach zaczął potrochu topnieć śnieg; to tu, to tam, biegły już małe strumyki wody, i od czasu do czasu widziałem muchę, lub pajaka, które przetrwały surową zimę syberyjską. Zbliżała się wiosna.

Wiedziałem, że wiosną niema drogi przez las. Bardzo prędko wystąpiły z brzegów wszystkie rzeczki i strumyki tajgi, a leśne bagna i topieliska stały się niemożliwe do przebycia. Wszystkie ścieżki ludzi i zwierząt zamieniały się od topniejącego śniegu w burzliwe potoki, pędzące z gór z szumem i hałasem. Wiedziałem, że aż do lata jestem skazany na samotność.

Wiosna następowała szybko, a chociaż nocami i o świcie bywały ostre mrozy, jednak promienie słońca wciąż dnia toczyły zwycięską walkę ze śniegiem. Wkrótce moja góra była już wolna od śniegu i stała cała szara, pokryta tylko kamieniami, nagiemi jeszcze konarami brzoź i osin, i wysokimi stożkowatymi mrowiskami. Rzeka w kilku miejscach zerwała już swój lodowy pokrowiec i pędziła hałaśliwie, odrywając coraz to nowe i coraz większe bryły lodu.

MOJE RYBOŁÓWSTWO.

Pewnego poranku, wyszedłszy po zdobycz, zbliżyłem się do brzegu rzeki i spostrzegłem duże ryby o czerwonych, jakgdyby nalanych krwią grzbietach i ogonach. Ryby pływały, wystawiając nad wodę grzbiety, widocznie rozkoszując się ciepłem słonecznym. Od tej chwili myśl o możliwości złapania tych wspaniałych ryb i urozmaiceniu mego jednostajnego pożywienia nie porzucała mię, lecz nie posiadałem nic dla normalnego rybołówstwa i byłem zmuszony uciec się do innych sposobów.

W miarę jak rzeka oczyszczała się z lodu, ryby napływały w coraz to większych ilościach. Przekonałem się, że płyną przeciwko prądowi, przenosząc się dla składania ikry z Jeniseju do źródeł mniejszych dopływów tej rzeki. Postanowiłem użyć barbarzyńskiego sposobu połowu ryb, chociaż wiedziałem, że prawodawstwo wszystkich państw surowo karze ten system. Myślałem jednak, że prawodawcy i moralisci nie będą zbyt surowi dla mieszkańca nory pod korzeniami obalonego drzewa w tajdze syberyjskiej, samotnika, który ośmielił się przekroczyć ich racjonalne zarządzenia, a zresztą, wtedy ryba o czerwonym grzbiecie była dla mnie ważniejsza od prawników w togach, beretach lub frakach.

Więc zacząłem działać. Najpierw zrabiałem większą ilość cienkich brzoź i osin i zacząłem budować płot poprzez rzekę, wbijając zaostrzone drągi w dno lub umocowując je pośród kamieni łożyska i, przeplatając cienkimi gałęziami. Po dwóch dniach uciążliwej pracy w lodowatej wodzie płot mój był ukończony. Widziałem, że około tej nieoczekiwanej przeszkody gromadziły się wielkie ryby i coraz to więcej ich przybywało. Okazywały oznaki żywego zakłopotania, dotykały głowami płotu, odpływały i znów zawracały. Nareszcie

zaczęły czynić usiłowania, by przeskoczyć tę przeszkodę. Wtedy widziałem często olbrzymie srebrne ryby o czerwonych grzbietach i ogonach, długości metra i więcej, wyskakujące z rozpędem z wody, uderzające sprężystymi ciałami o ścianę z gałęzi i bezsilnie opadające zpowrotem do rzeki. Czasami dwie lub trzy ryby naraz dokonywały tego manewru. Musiałem działać. Umocowawszy nóż na długim drągu, starałem się przebić rybę, lecz wszystkie próby były nieudane. W ten sposób ryzykowałem złamanie lub zgubienie noża. Nie mniej bezowocne były moje usiłowania, aby zaczepić ryby sękatym drągiem i wyrzucić je na brzeg. Wtedy postanowiłem wyzyskać dążenie ryb do przejścia przez płot.

Uczyniłem to w następujący sposób:

O kilka kroków od brzegu wyrąbałem, nawpół pod wodą, okno w moim płocie, a po drugiej jego stronie umieściłem wysoko wystający nad wodą kosz, który splotłem był z cienkich prętów wikliny. Uzbrojony krótkim i ciężkim kijem, czekałem na zdobycz. Pokilku minutach do zdradzieckiego otworu w płocie zaczęły podpływać dwie wspaniałe ryby. Bardzo ostrożnie, jakgdyby namacując każdy cal, weszły do kosza, gdzie zaczęły skakać, bijąc potężnymi ogonami. Niebawem mój kij uspokoił ich zapały.

W ten sposób stałem się rybakiem. Każdy okaz ważył co najmniej 30 funtów, zdarzały się zaś okazy i po 80 funtów. Były to ryby z gatunku „taj mień”, z rodziny łososi. Po tygodniu miałem zakopanych w śniegu w zacienionym wąwozie w pobliżu mojej nory około 70 ryb. Porzuciłem polowanie i, siedząc około mojej zasadzki, biłem kijem ryby i wyrzucałem je na brzeg. Lecz słońce przypiekało coraz bardziej. Powróciwszy pewnego razu do domu, poczułem zapach gnijących ryb. Byłem zmuszony z żalem wyrzucić do rzeki cały ten zapas i ograniczyć się codzienną zdobyczą. Lecz wkrótce ryby przeszły i mój kosz-pułapka przestał dostarczać pożywienia.

Znowu powróciłem do karabina.

NIEBEZPIECZNY SĄSIAD.

Polowanie tymczasem stało się miłsze i weselsze. Wiosna wszystko ożywiła. Wczesnym rankiem, prawie o świcie, las napełniał się głosami i dźwiękami dziwnymi i niezrozumiałymi dla mieszkańców wielkich kulturalnych miast. W gęstych gałęziach cedrów głuszcę śpiewa swoją krótką i namiętą pieśń miłości i pieśnią tą zachwyca szare kury, biegające pod konarami. Do tego ptasiego Garusa łatwo się wtedy podkraść na odległość wystrzału. Jeśli kula karabinowa ominie go, on nigdy nie słyszy podczas śpiewu huku wystrzału i ciągnie dalej swą arję, trwającą zaledwie kilka sekund.

Na dużej polanie leśnej walczą zacięcie cietrzewie-koguty, rozpuściwszy czarne wachlarze ogonów o dwóch białych zagiętych piórkach, a damy, kręcąc głowami i z ożywieniem plotkując, przyglądają się zapasom i wybierają najdzielniejszych bojowników.

Zdaleka echo przynosi głuchy i groźny, lecz zarazem pełny dziwnie namiętnego wołania ryk jelenia, tęskniącego do towarzyszki. W górach rozlegają się krótkie beczenia dzikich kozłów. Pomiedzy krzakami i na polanach skaczą i zabawiają się gonitwą zające, a tuż zaraz przyczajony, zda się wciśnięty do ziemi, czyha na nie rudy lis.

Tylko wilków nie słychać, gdyż w tych leśnych i górzystych miejscowościach nie mają te drapieżniki nic do roboty.

Ale był niedaleko ode mnie inny sąsiad. Ponury, samotny i dziki. Byliśmy wzajemnie dla siebie niebezpieczni i odrazu zrozumieliśmy, że jeden z nas musi ustąpić i odejść na zawsze.

Kiedyś, powracając do domu z wielkim głuszcem na plecach, spostrzegłem w krzakach czarną, powoli ruszającą się masę. Zatrzymałem się i, przypatrując się uważnie, zobaczyłem niedźwiedzia, który rozrywał łapami mrowisko i łapczywie zjadał jajka i poczwarki mrówek. Zwęszywszy człowieka, niedźwiedź, głośno i gniewnie sapiąc, szybko się oddalił, zadziwiwszy mnie swoim biegiem.

Nazajutrz, gdym jeszcze leżał na swem poślaniu, obudził mnie jakiś szmer za tylną ścianą domu. Ostrożnie wyjrzałem i zobaczyłem swego brunatnego sąsiada. Stał na tylnych łapach i ze świstem wciągał powietrze, ciekawie i bacznie rozglądając się dokoła; widocznie zastanawiał się nad kwestją, jaka to istota przejęła obyczaje niedźwiedzie i zamieszkała przez zimę w barłogu pod korzeniami drzewa.

Krzyknąłem i uderzyłem siekierą w dno mego kotła. Mój wizytator ze wszystkich sił rzucił się do ucieczki i w mgnieniu oka znikł pośród skał i krzaków.

Jednak ta wizyta nie podobała mi się. Była to jeszcze zbyt wczesna wiosna dla przebudzenia się niedźwiedzia. Stąd wywnioskowałem, że mój sąsiad należał do chorobliwego, bardzo złośliwego typu „mrówczaków”, typu nienormalnego, nadużywającego wszelkich przepisów niedźwiedziej etykiety. Wiedziałem, że taki samotnik jest zawsze zły i zuchwały, postanowiłem więc należycie przygotować się do następnego spotkania. Te przygotowania zresztą trwały bardzo krótko. U pięciu kul mego karabina ściałem wierzchołki niklowe i sfabrykowałem tak zwane „dum-dum” – dostatecznie przekonujący argument dla intruza. Po herbacie poszedłem na miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkałem niedźwiedzia, i gdzie było dużo mrowisk.

Obszedłem całą górę, zaglądając do wszystkich wąwozów, lecz nigdzie nie spotkałem misia. Rozczarowany i zmęczony powracałem do domu i tu nieoczekiwanie spostrzegłem niebezpiecznego sąsiada. Właśnie wychodził z mojej nory, zawzięcie węszył przy ziemi i ciągnął mój kożuch.

Wystrzeliłem. Kula trafiła zwierzę w bok. Ze wściekłym rykiem podniósł się na tylne łapy i ruszył ku mnie. Druga kula strzaskala mu biodro. Niedźwiedź usiadł, lecz natychmiast, ciągnąc za sobą łapę i próbując wstać, znowu ruszył na mnie. Za trzecim wystrzałem padł, ugodzony w serce.

Mój sąsiad ważył około 200–250 funtów, a był bardzo... smaczny.

Żywiąc się jego mięsem, doczekałem czasu, gdy ziemia wyschła, rzeki stały się możliwe do przebycia i gdy nareszcie mogłem ruszyć w stronę siedzib ludzkich drogą, którą wskazał mi Iwan.

Z wielką ostrożnością przyszedłem do małej, zaginionej w lesie wsi, Siwkowej, i zatrzymałem się u syberyjskiego chłopca Tropowa.

Gdy teraz robię obrachunek ze wszystkiego, co zaszło ze mną podczas mego samotnego życia w syberyjskiej tajdze, dochodzę do takich wniosków.

W każdym kulturalnym człowieku, wówczas gdy zachodzi konieczność surowej walki o byt, może odrodzić się pierwotny człowiek – myśliwy i wojownik, który dopomaga mu w walce z naturą. W tem jest przewaga człowieka kulturalnego nad niekulturalnym, który nie posiada dostatecznej wiedzy i siły woli do prowadzenia zwycięskiej walki. Lecz zarazem przyszedłem do przekonania, że niema nic potworniejszego dla człowieka kulturalnego, nad całkowite osamotnienie i przekonanie, że jest zupełnie odcięty od świata, ludzi i warunków kulturalnego, w znaczeniu moralnem życia. Jeden krok, jedna chwila bezsilności woli – a nastąpi ponury szal, który opanuje mózg i wolę i doprowadzi człowieka do nieuniknionej zguby.

Przeżyłem straszliwe dni walki z chłodem i głodem, lecz stokrotnie straszniejsza była walka z zabijającymi moją wolę myślami! Wspomnienia o tych dniach wstrząsają mem sercem i mózgiem.

ZUCHWAŁY PLAN.

Pobyt mój we wsi Siwkowej nie trwał długo, jednak zdążyłem wyzyskać go jak najlepiej. Najpierw udało mi się posłać godnego zaufania człowieka do miasta, skąd znajomi przysłali mi pieniądze, bieliznę, buty, trochę niezbędnych lekarstw, ubranie, a co najważniejsze,

falszywy paszport na inne nazwisko, które pozwoliło mi osobiście umrzeć dla bolszewików; powtórę zdążyłem, w mniej lub więcej spokojnej atmosferze, w gościnnym domu Tropowa, ułożyć plan mojej dalszej włości.

Do Siwkowej doszły wiadomości, że wkrótce po spłynięciu lodu na Jeniseju, mają tu zjechać bolszewicki urzędnicy w celu rekwizycji bydła u włościan dla czerwonej armii. Zostawać tu było niepodobieństwem, i oczekiwałem tylko chwili, gdy Jenisej połamie i zanieś do Oceanu swoje kajdany z lodu i gdy można będzie popłynąć czółnem.

Wyleczyłem z tyfusu plamistego jednego z miejscowych chłopów i ten podjął się odwieźć mnie o 90 kilometrów na południe do jakiejś, porzuconej oddawna, kopalni złota.

W różnych miejscach Jeniseju lód już popękał, lecz wogóle rzeka była jeszcze prawie cała pod potężną korą lodową. Pewnego poranka usłyszałem ogłuszający huk lodu i szum wyrrywającej się z uwięzi wody. Wybiegłem na brzeg Jeniseju i ujrzałem groźny, lecz wspaniały obraz walki żywiołów.

Jenisej pod parciem dawno już płynącego od południa lodu, poczynił z niego w kilku miejscach olbrzymie tamy, które podniosły poziom wody w łózysku pośród skał. Teraz woda zrywała te tamy z hukiem i trzaskiem i niosła całe pola lodowe na północ, ku Oceanowi Lodowatemu.

Jenisej, „ojciec Jenisej”, jest jedną z największych i najdłuższych rzek Azji, bardzo głęboką, lecz ściśniętą w całej środkowej części łózyska wysokimi, skalistymi brzegami. Olbrzymi potok wody unosił teraz całe mile pól lodowych, krusząc je na wystających z wody skałach, lub około przylądków wrzynających się daleko w rzekę, kręcąc z gniewnym szumem i pluskiem wielkie kry; płynęły czarne drogi, które ciągnęły się wzdłuż zamrożonej rzeki, wybudowane na lodzie szalasy dla podróżników, jadących z towarami z Minusińska do Krasnojarska.

Czasami rzeka stawiała, i wtedy gromadziły się stosy kry, tworząc wały i ściany, co chwila opadające i znowu wznoszące się do góry. Woda wzbierała coraz wyżej i wyżej, znosząc całe warstwy ziemi wraz z drzewami i krzakami, zrzucając do rzeki wielkie odłamy skał i pozostawiając na brzegu olbrzymie tafle niebieskiego lodu. Pod parciem wody te tamy padały z łoskotem, a kra mknęła z podwójną szybkością, krusząc się i rozbijając z brzękiem tłuczonego szkła.

Na zakrętach rzeki i około skał panował chaos, przejmujący grozą. Grube tafle i odłamy lodu, wyrzucane w powietrze, waliły o skały, odrywały kamienie i drzewa, tworzyły pasma gór lodowych ciągnące się na dziesiątki kilometrów. Trwały one do lata, póki ich słońce nie roztopiło.

Obserwując ruch lodów, nie mogłem bez przerażenia i wstrętu patrzeć na ofiary, które niósł groźny Jenisej. Były to ciała ludzi, straconych przez minusińską „czeka”: oficerów, żołnierzy i kozaków rozproszonych armii nieszczęśliwego adm. Kołczaka. Setki tych trupów, może tysiące, z odrąbanymi głowami i rękami, z oszpeconymi twarzami i ciałami, napół spalone, z wyciętymi na piersiach i nogach kawałami skóry, z wykłutymi oczami i zdruzgotanymi głowami – płynęły na kawałach kry, szukając dla siebie mogiły, lub obracając się w szalonych wirach pomiędzy lodowymi bryłami. Kra miotała niemi, druzgotała je, rozcierała na miazgę, rozrywała na kawały i wyrzucała na płaskie wyspy rzeczne i na mielizny około brzegów. Kierując się wzdłuż Jeniseju, ciągle spotykałem gnijące trupy ludzkie i końskie, rozrywane przez drapieżne ptaki i zdziczałe psy. W jednym miejscu widziałem na brzegu 300 trapów końskich, wyrzuconych przez rzekę, a dalej w krzakach wikliny znalazłem 70 ludzkich ciał, czyli raczej części ciał. Okropny, słodka wyśmiał się gnijącego mięsa płynął z wiatrem, a nad tą ponurą miejscowością unosiły się sępy i kruki, płoszone przeze mnie i przeraźliwie kraczące.

Nareszcie Jenisej zerwał lodowe więzy, i przede mną mknął wezbrany potworny potok mętnej, wirującej wody, unosząc na północ do oceanu resztki kry, porwane drzewa i trupy...

Wynajęty przeze mnie chłop z pomocą swego syna wsadził mię do czółenka, wypalonego z pnia osiny, włożył tam mój skromny majątek, i, odpychając się długimi drągami, popłynęliśmy przeciw prądowi, trzymając się brzegu.

Ciężka to była praca! Trzeba było wiosłować około wystających skał, walcząc z szalenie wartkim prądem. Przy samych skałach wszyscy trzej czepialiśmy się kamieni rękami i, wyętzając siły, pchaliśmy czołno naprzód. Lecz dla przepłynięcia kilku metrów traciliśmy bardzo dużo czasu, walcząc o każdy centymetr mknącego na nas i porywającego nas za sobą prądu.

Tak płynęliśmy trzy dni, lecz nareszcie dotarliśmy do celu naszej podróży, do oddawna porzuconej kopalni złota. Tam przemieszkałem kilka dni u rodziny stróża, która żyła o głodzie, a więc w niczem nie mogła być mi pomocna. Karabin jeszcze raz stał się moim opiekunem, dostarczając żywności i dla mnie, i dla moich gospodarzy.

Pewnego razu przyjechał jakiś technik. Ja już się nie ukrywałem, gdyż życie leśne nadało mi taki wygląd, że nikt poznać mię nie mógł. Łatwo mogłem uchodzić za zwykłego myśliwego sybirskiego, za jakiego się też podawałem. Jednakże nasz gość był człowiekiem badawczym i przenikliwym. Odrazu odgadł moje incognito, które zresztą nie bardzo starałem się zachować, gdyż zrozumiałem, że nie jest bolszewikiem. Tak też było. Mieliśmy wspólnych znajomych i jednakowe poglądy na sprawy. Przytem pokazało się, że jest to Polak, agronom z zawodu. Mieszkał w jakiejś ustronnej wsi, kierując robotami górniczymi, unikał podróży do miasta, starając się, żeby o nim zapomniwały władze.

Postanowiłem razem z nim uciekać z Rosji.

Dawno już obmyśliłem był plan ucieczki. Znajac położenie i geografję Syberji, po której dużo podróżowałem, przyszedłem do wniosku, że mamy jedyną drogę ratunku – przez półzależny od Rosji i Chin kraj Urianchajski, a więc przez źródła rzeki Jenisej do Mongolji i dalej na wschód do Pacyfiku. Podczas rządów Kołczaka projektowałem wyprawę naukową do Mongolji, więc starannie wystudjowałem literaturę i mapy tego kraju, do którego należy i Urianchaj.

Postanowiliśmy obecnie urzeczywistnić ten zuchwały plan i przedostać się przez sowiecką Syberję.

PRZEZ POŁUDNIOWĄ SYBERJĘ.

Po kilku dniach jechaliśmy już konno przez lasy lewego brzegu Jeniseju na południe, starając się omijać wsie i osady i nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Zresztą należy zaznaczyć, że gdy wypadało nam zatrzymać się u chłopów, ci przyjmowali nas bardzo gościnnie i, chociaż nie znali nas, otwarcie wypowiadali swą nienawiść do bolszewików – komunistów, ogładzających włościan.

W jednej wsi powiedzieli nam, że od strony Minusińska dąży do Krasnojarska znaczny oddział „czerwonych”, wysłanych dla wyłapywania „białych”. Odjechaliśmy dalej od brzegu Jeniseju i tak zwanej Aczyńskiej drogi i zapadaliśmy w lasy, gdzie przesiedzieliśmy do sierpnia, ponieważ przez całe lato bolszewickie oddziały karne wałęsały się po borach, tropiąc i zabijając bezbronnych, prawie nieoddzianych oficerów i kozaków byłej armji Kołczaka, którzy ukrywali się w lasach od niechybnej śmierci z rąk sowieckich katów. Później, na jesieni, przechodząc przez te miejsca, natrafiliśmy na niewielką polanę, gdzie na otaczających ją drzewach wisiało 28 oficerów z wyciętymi gwiazdami na piersiach. Wiedzieliśmy dobrze, że taki sam los spotkałby i nas, gdybyśmy wpadli w ręce tej „najbardziej postępowej” demokracji na świecie.

Przysięgliśmy więc sobie, że żywymi nas bolszewicy nie wezmą. Posuwając się na południe, spotykaliśmy ludność coraz bardziej wrogą dla bolszewików, gdyż był to kraj starych syberyjskich osadników i kozaków.

Wreszcie z lasów wynurzyliśmy się na bezgraniczną płaszczyznę Czułym-Minusińskich stepów, przeciętych czerwonymi grzbietami Kizyl-Kaja i wielkimi słonemi jeziorami: Szyro, Szunet, Forpost i innemi.

Jest to kraina mogił, jedno olbrzymie, historyczne cmentarzysko. Narody, plemiona, szczepy, ciągnęły temi stepami, zatrzymując się tutaj na czas dłuższy lub przemijając jak widma nocne, i pozostawiając za sobą mogiły, kurhany, monolity. Tysiące wielkich i małych „dolmenów” – mogił dawnych właścicieli tych stepów, majestatyczne kurhany z kamieni i czaszek ludzkich, wykute ze skał znaki, które stawiał niegdyś Wielki Mongoł Dżengiz, a po nim Tamerlan Chromy, straszliwy bicz Boży, ciągnęły się z południa na północ nieskończonym szlakiem.

Teraz tu panami byli Tatarzy szczepu abakańskiego, bogaci, gościnni i kulturalni. Obecnie przed nawałnicą bolszewicką wynieśli się do Urianchaju, Mongolji, nawet do Tybetu, a w pozostałych tkwiła głęboka nienawiść do znęcających się nad nimi komunistów. Przytem zmartwychwstała w nich, zdawało się, przed wiekami zgasła, idea Dżengischana o zwalczania kultury Zachodu i o utwierdzeniu nowego prawa, kierowanego i ustalonego przez naukę mędrca Buddy, prawa szlachetnego i wzniosłego ducha ludzkiego. Nieraz pastuchy tatarscy, siedząc przy ognisku, napół śpiewali, napół opowiadali legendy o Wielkim Mongole, o synu jego Kubłaj-Chanie, o krwawym Tamerlanie, o szlachetnym, promiennym Baber-Sułtanie i o nieszczęśliwym Amursan-Chanie.

Czułym-Minusińskie stepy stały się takim miejscem ciągłych potyczek, mniejszych i większych walk pomiędzy Tatarami i „oswobodzonymi” Rosjanami, jakiem niegdyś w Rzeczypospolitej Polskiej były słynne „Dzikie Pola”, tylko rolę „dziczy krwawej” wzięli na siebie „obrońcy rewolucji i wolności” – rosyjskie bandy bolszewickie.

Tatarzy przyjmowali nas uprzejmie, karmili i dawali nam przewodników, podejmując dla nas wywiady, abyśmy nie trafili na jaki czerwony patrol. Otwarcie mówiliśmy, że uciekamy z Rosji do naszej ojczyzny, która jest też ojczyzną dla wielu Tatarów, obywateli wolnej Polski. Ponieważ mieliśmy od Tatarów adresy pewnych osób i listy ochronne, nasza podróż przez stepy odbyła się bardzo szczęśliwie.

Po kilku dniach z wysokiego brzegu Jeniseju zobaczyliśmy płynący z Krasnojarska do Minusińska statek „Orzeł”, wiozący czerwonych żołnierzy, a w kilka godzin później – ujście rzeki Tuby, przeciw prądowi której musieliśmy się posuwać, dążąc ku górcom Sajańskim, stanowiącym granicę północnej prowincji Mongolji – naszej „ziemi obiecanej” – Urianchaju. Uważaliśmy część drogi, biegnącą brzegami Tuby, a dalej – wzdłuż dopływu rzeki Amył, za najniebezpieczniejszą, gdyż doliny tych rzek są bardzo zaludnione, sąsiedztwo zaś z komunistycznym Minusińskiem zdeprawowało do szczytu ludność miejscową, która chętnie wstępowała do czerwonych partyzanckich oddziałów bandytów: Szczecinkina i Krawczenki.

Tatarzy wpływ przeprowadzili nocą nasze konie na przeciwny brzeg Jeniseju, a potem przysłali po nas kozaka, który czołnem przewiózł nas i nasze rzeczy. O świcie byliśmy już w gęstych zaroślach na małej wysepce w ujściu Tuby i rozkoszowaliśmy się słodkimi i aromatycznymi jagodami czerwemchy i czarnych porzeczek, rosnących tam w wielkich ilościach.

TRZY DNI NAD PRZEPAŚCIĄ.

Zaopatrzeni w fałszywe dokumenty, posuwaliśmy się brzegiem Tuby. Co 15–20 kilometrów natrafialiśmy na duże, po 100–400 domów liczące sioła, rządzone przez miejscowe sowiety, kierowane rozkazami sowietu i czeki z Minusińska. Wszędzie

spotykaliśmy sowieckich wywiadowców i szpiegów, lecz ratowały nas dotychczas nasze dobrze sfabrykowane pasporthy techników, delegowanych do robót budowlanych.

Ominąć tych siół niepodobna było z dwóch przyczyn. Najpierw nasze usiłowania, by ominąć siedziby ludzkie, przy ciągłych spotkaniach z chłopami w drodze, wzbudziłyby całkiem zrozumiałe podejrzenia, i niezawodnie bardzo prędko aresztowałby nas jakiś najbliższy „sowiec” i odstawił do minusińskiej „czeki”, któraby naturalnie znalazła dla nas miejsce w Jeniseju; powtóre – dokument mego towarzysza dawał prawo do wozu i do dwóch rządowych kopi dla celów służbowych. Wobec tego musieliśmy odwiedzać miejscowe sowiety i zmieniać konie. Swoje konie oddaliśmy kozakowi, który przewiózł nas przez Jenisej, a później odstawił do najbliższego sioła, gdzie dostaliśmy pierwsze rządowe konie pocztowe.

Wspominając drogę po Tubie, muszę zaznaczyć, że z małymi wyjątkami wszyscy chłopci byli bardzo wrogo usposobieni do bolszewików i, słysząc od nas chłodne lub krytyczne uwagi o sowietach, starannie nam dopomagali; szczególnie dawało się to odczuwać w domach sektantów i kozaków. Odplacaliśmy za gościnność leczeniem chorych i radami gospodarczymi. Spotkaliśmy kilka wsi komunistycznych, których ludność była jednak niesyberyjskiego pochodzenia. Byli to nowi osadnicy, przysyłani jeszcze za czasów imperjum z Ukrainy – pijani, leniwi, tępi i mściwi chłopci, których rdzenni Sybiracy nienawidzą, nazywając ich „szpana”, co znaczy – szumowiny, brudy.

Bardzo szybko nauczyliśmy się odróżniać wsie komunistyczne od niekomunistycznych.

Gdy wjeżdżaliśmy do wsi, pobrzękując dzwoneczkami upręży końskiej, a siedzący przed domostwami starcy powoli wstawali i kryli się za wrotami, mrucząc:

– Znowu jakichś djabłów „towarzyszy” przyniosło лихо! – wtedy wiedzieliśmy, że jesteśmy wśród prawdziwych, uczciwych, wolnych Sybiraków. Lecz gdy w innej wsi chłopci obstępowali nas, zarzucając pytaniami:

– Skąd, towarzysze? Po co, towarzysze? Czy to wypadkiem nie towarzysz-komisarz? – wtedy mieliśmy się na baczności i byliśmy bardzo oględni w słowach i w czynach.

Spotykaliśmy również wsie i sioła, których ludność prawie zupełnie wymarła na tyfus plamisty. Zresztą wszędzie ta straszliwa epidemia, która dotarła aż pod grzbiety Sajonów, zdziesiątkowała ludność wsi syberyjskich wzdłuż całego systemu rzeki Jeniseju. Żyzne łąki czarnoziemne leżały odłogiem, bo nie było komu pracować na roli; zresztą nie było już koni i bydła, gdyż komuniści zarekwirowali całą chudobę konserwatywnego i bogatego chłopstwa syberyjskiego, oszczędzając tylko leniwych i występnych osadników z Rosji Europejskiej lub z Ukrainy.

Bardzo przykre chwile przeżyliśmy w wielkim siole Karatuz. Jest to raczej miasto niż sioło. Tu przed czasami bolszewickimi istniały dwa gimnazja, a ludność osiągała 25000 mieszkańców. Karatuz to stolica kozaków jenisejskich, miasto bogate i wesołe. Obecnie zmieniło się ono do niepoznania. Chłopci z Rosji i Ukrainy, uzbrojeni i rozagitowani przez agentów bolszewickich, wycięli ludność kozacką, rozgrabili wszystkie domy, które stały teraz popalone, z wybitemi drzwiami i oknami, ze śladami kul w murach i w dachach.

Gdy podjechaliśmy do sowietu, aby zmienić konie, otoczyła nas gromada jakichś bardzo podejrzanych drabów. Pokazało się, że trafiliśmy na posiedzenie wysokich komisarzy, przybyłych tu dla jakiejś sprawy z minusińskiej „czeki”.

Draby zaczęli nas indagować i żądać pokazania dokumentów. Nie mieliśmy bynajmniej pewności, że nasze papiery wywrą pożądane wrażenie, więc staraliśmy się uniknąć rewizji dokumentów. Mój towarzysz-agronom powiedział mi później:

– Co za szczęście, że u bolszewików wczorajszy nieudolny szewc piastuje urząd gubernatora, uczeni ludzie tymczasem zamiatają ulice lub czyszczą stajnie czerwonej kawalerji! Z bolszewikami, bądź co bądź, można się dogadać, ponieważ oni nie odróżniają

„dezynfekcji” od „influency” i „antracytu” od „apendicitu”. W nich można wszystko wmówić, dopóki nie wypuszczą kuli z rewolweru...

Rzeczywiście udało nam się wmówić w komisarzy „czeki” wszystko, co było potrzeba. A więc kreśliliśmy im wspaniały obraz przyszłego rozwoju kraju, gdy wybudujemy szosy i mosty, które dadzą możliwość eksportowania lasu, wełny, skór z Urianchaju, rud, nafty i złota z Sajanów, bydła z Mongolji, drogich futer z lasów, rosnących u źródeł Jeniseju...

Nasza „oda” trwała około godziny, lecz triumf po niej był zupełny, gdyż „czekiści”, zapomniawszy już o dokumentach, sami przenosili nasze rzeczy na nowy wóz i życzyli nam powodzenia na chwałę rządu sowietów.

To było ostatnie nasze zajście w granicach Rosji.

Po przebyciu doliny rzeki Amył szczęście nam sprzyjało. Spotkaliśmy na promie za Karatuzem starszego dozorcę milicji, który wiozł z sobą kilka karabinów i magazynowych rewolwerów Mauzera. Były one przeznaczone dla oczekiwanej wyprawy milicji w głąb Urianchaju w celu pościgu za jakimś kozackim oficerem, „katem wolnego, rewolucyjnego ładu”, jak go nazywał nasz nowy znajomy. Nowina ta była dla nas bardzo ważna, gdyż łatwo moglibyśmy się spotkać z tym oddziałem, a nie mieliśmy pewności, czy oda o szosach i mostach po raz drugi będzie miała magiczny wpływ na tych bandytów. Ostrożnie wybadawszy dozorcę, ustaliliśmy drogę, którą miała wyruszyć ekspedycja. W ostatniej wsi rosyjskiej na pograniczu Urianchaju, zatrzymaliśmy się w jednym domu z dozorcą, czekając aż dla nas zmienią konie. Podczas przekładania swoich rzeczy, zauważyłem nagle zachwycony, wniebowzięty wzrok dozorca, zwrócony w stronę mojego tobołka.

– Co się wam tak podobało? – spytałem.

Spodnie... – wyszeptał przedstawiciel milicji sowieckiej – spodnie!

Istotnie otrzymałem od swoich przyjaciół zupełnie nowe spodnie z czarnego grubego sukna, bardzo dobre do konnej jazdy. W tej właśnie części mojej garderoby trzymał utkwione oczy dozorca milicyjny.

– A czyż wy nie macie zapasowych spodni? – spytałem go, planując moralny atak na zachwyconego dozorcę.

– Nie! – odparł ze smutkiem w głosie. – Sowiety nie dają. Sami, powiadają, bez spodni chodzimy. A moje tymczasem zupełnie się zniszczyły. Spójrzcie no sami!

Mówiąc to, odchylił poję swego kozucha i ukazał mi spodnie, które przypominały raczej sieć na grube ryby. Dziwiłem się, jakim sposobem biedaczysko mógł się w nich utrzymać.

– Sprzedajcie... – z prośbą w głosie odezwał się po chwili dozorca.

– Nie mogę, sam potrzebuję! – odparłem stanowczo.

Namyśliwszy się trochę, dozorca zbliżył się do mnie i szepnął:

– Pójdźmy na dwór, pomówimy! Ta niedogodne miejsce...

Wyszliśmy.

– Słuchajcie! – zaczął dozorca. – Jedziecie do Urianchaju! Tam nasze sowieckie pieniądze nic nie są warte, za nie nic nie kupicie. A jest tam co kupić! Sobole, lisy, gronostaje, złoto także można tanio nabyć wzamian za jakąś drobnostkę. Tam wszystko można dostać za karabiny i naboje. Macie z sobą tylko jeden karabin. Ja wam dam jeszcze jeden i 100 naboji do niego, a wy mnie... spodnie. Co? dobrze?

– Nam nie trzeba broni, nas chronią nasze dokumenty! – niby nie rozumiejąc, o co chodzi, odpowiedziałem spokojnie.

– Ale nie! – żywo odezwał się dozorca. – W Urianchaju zamienicie karabin na futra, albo na złoto. Oddam wam karabin na zawsze, na wieczną własność. Rozumiecie?

– A! teraz rozumiem – rzekłem. – Ale w takim razie tego mało za spodnie. Spodni, i do tego takich wspaniałych, nigdzie w Rosji nie znajdziecie. Cała Rosja chodzi obecnie bez spodni. A za karabin dadzą mi jedną skórę sobola. Co ja będę z nią robił?

Słowo po słowie dopiąłem swego. Dozorca otrzymał moje spodnie, a ja karabin ze 100 nabojami i dwa mauzerowskie pistolety z 80 nabojami. Od tej chwili byliśmy uzbrojeni i mogliśmy stawiać poważny opór w razie przygody. Nadto szczęśliwy posiadacz nowych spodni wydał nam rządowe poświadczenie na prawo noszenia broni.

W ten sposób prawo i siła były po naszej stronie.

Dozorca dopomógł nam nabyć we wsi od bogatego chłopa trzy konie, dwa pod siodło i jednego pod toboły, wynająć przewodnika, który był prawnukiem zesłańca, Polaka, hr. Przeździeckiego, kupić sucharów, mięsa, soli i masła. Wypocząwszy jeden dzień, ruszyliśmy w stronę źródeł Amyła, kierując się ku Sajanom, za którymi już nie mogliśmy spotkać „czerwonych”, ani głupich, ani mądrych...

Trzy dni zabrała nam droga od ujścia Tuby do tej ostatniej granicznej wsi rosyjskiej. Trzy dni ciągłego poczucia bezprawia, bezpośredniego niebezpieczeństwa i bliskiej, głupiej śmierci z rąk oszalałej dziczy.

Wielka siła woli, panowanie nad wrażeniami, zimna krew i upór w dążeniu do celu dopomogły nam szczęśliwie ominąć niebezpieczeństwa i nie stoczyć się w przepaść, na dnie której leżały już setki ludzi, pragnących wykonania tego, co nam się udało. Czy naszym nieszczęśliwym poprzednikom nie starczyło wytrwałości i pomysowości, czy, być może, nie umieli oni układać ody na cześć przyszłych mostów, szos i kopalń, czy też poprostu nie mieli z sobą... dobrych zbywających spodni?

Nie można pominąć jednego bardzo ciekawego zjawiska historycznego, które rzuciło się nam w oczy podczas podróży brzegami Jeniseju, Tuby i Amyłu. Prawym brzegiem Jeniseju, a zatem brzegami Tuby i Amyłu, ukryty w gęstych krzakach i leśnych zaroślach, ciągnie się nieskończenie długi szlak nieznanymi mogił. Chłopi syberyjscy nazywali je „czudzkimi mogiłami”, czyli mogiłami nieznanymi ludzi. Szlak ten dochodzi aż do Krasnojarska, niektórzy zaś badacze znaleźli te same mogiły aż na brzegach Oceanu Lodowatego. Drogi, którymi ciągną się te mogiły, topografia miejscowości a później poczynione przez archeologów badania dowiodły, że jakieś plemię mongolskie szło było od południa ku północy lewym brzegiem Jeniseju, kryjąc się w lasach w obawie przed napadami tubylców-koczowników i pozostawiając po sobie mogiły. Umierali ci przybysze z ręki Tatarów, koczujących w stepach Minusińskich i Czułymskich, umierali z głodu i chorób, z wyczerpania, od zbyt surowego dla nich klimatu stepów. Z resztek sprzętów i ubrań, znalezionych w mogiłach, można było sądzić, że to nie było plemię wojownicze, lecz plemię myśliwych i hodowców bydła.

Skąd wędrowało ono i dokąd? Na to pytanie uczeni rosyjscy odpowiedni nie dawali, gdyż badali mogiły, leżące na przestrzeni od Minusińska do Krasnojarska, nie troszcząc się o poznanie geografii tego zjawiska. A tymczasem geografia i legendy mongolskie rzucają jaskrawe światło na pochodzenie „czudzkich mogił”.

Wielki Mongoł, Dżengiz-Chan, ruszył na czele hord azjatyckich do Europy. Droga jednej części jego konnej armii przechodziła przez Urianchaj. Czy sam Dżengiz szedł tamtędy, czy któryś z jego wodzów – niewiadome, i różnie o tem mówią legendy i księgi mongolskie. Jednakże wiadomo, że mongolscy wodzowie, zachwyceni celnością łuczników urianchajskich, oraz niezwykłą wytrwałością tych nieznanych jeźdźców, postanowili zaciągnąć ich do swoich szeregów. Lecz Urianchowie odmówili posłuszeństwa, oświadczając, że ich kraj jest „krajem odwiecznego pokoju”, i że ich wiara zabrania przelewu krwi „ptasiej, rybiej i ludzkiej”. Nie pomogły groźby i surowe kary, podczas których na rzece Dżabartaszu zginęło 300 wybitniejszych ze starszyny tubylczej. Pod naciskiem hord dżengischanowych Urianchowie zaczęli porzucać ojczyznę, wyruszając na wygnanie dwiema drogami: Kemczykiem na południe, gdzie weszli do obecnego obwodu kobdoskiego i zatarli mowę i wiarę przodków, i Amyłem i Tubą na Jenisej i dalej na północ. Rzece Tubie nadali swoje stare historyczne imię „tubów”, szczepu, który pochodził od

Tatarów-ujgurów, twórców największego na świecie imperjum koczującego. Z tych północnych wygnańców nikt już nigdy nie powrócił do pięknego Urianchaju, a kości ich leżą w tajemniczych „czudzkich” mogiłach, w tych śladach wielkiej tragedii dziejowej, która się rozegrała w XIII wieku.

Obecni tubylcy Urianchaju, Sojoci, przechowali pamięć o przodkach, którzy uchodzili przed „demonem wojny”, Dżengizem, wierni przepisom starej wiary i moralności, kwitnącej w „kraju odwiecznego pokoju”.

DO SAJANÓW – DO WYBAWIENIA!

Dziewicze lasy ogarnęły nas, pochłonięły. Pośród wysokiej trawy i żółkniejących krzaków wije się ledwie dostrzegalna ścieżka. To oddawna porzucona „stara amyłska ścieżka”, którą przed 35 laty wożono mąkę i sól, maszyny i robotników do licznych kopalń złota, porozrzucanych w systemie rzeki Amył. Ścieżka to zbliża się do samego brzegu wartkiego Amyłu, to znika w lesie. Wyprowadza nas ona na błotnistą równinę z ukrytymi pośród wysokiej trawy topieliskami, do gęstych zarośli, na szczyty gór, na obszerne łąki i do gęstych lasów. Nasz przewodnik, potomek hr. Przeździeckich, o których doskonale pamięta i którymi się szczyci, chociaż już się nazywa „Przeździeckij”, widocznie rozumie nasz istotny plan i od czasu do czasu z trwogą patrząc na ziemię, mówi:

– Przejechało trzech jeźdźców... Konie podkute... Widocznie żołnierze...

Wkrótce jednak uspokaja się, ponieważ widzi, że ślady poszły gdzieś wbok, a później zawróciły.

– Dalej nie pojechali! – oznajmia nam Przeździecki, chytrze się uśmiechając.

– Szkoda! – mówimy mu. – W towarzystwie podróż byłaby weselsza.

Lecz chłop głaszcze swoją powichrzoną brodę i śmieje się. Widocznie nam nie wierzy.

Przejechaliśmy przez wielką kopalnię złota, w nowych czasach urządzoną przez Amerykan podług przepisów współczesnej techniki. Bolszewicy zrabowali to przedsiębiorstwo, wywieźli złoto, maszyny, zapasy i nawet niektóre części budynków, pozostawiając kopalnię prawie zrujnowaną, głuchą i nieczynną. Jak sztandar sowieckiej Rosji, na pagórku stała spalona cerkiew ze zdartą dachówką i krzyżem zrzuconym. Głodna rodzina stróża pędzi tu samotne i smutne życie, narażona na stałe niebezpieczeństwo. W okolicznych lasach błakają się bandy czerwonych partyzantów, rabują i zabijają. Czasami zatrzymują się dłużej w tych kopalniach, które niegdyś słynęły z obfitości złota, przemywają piasek i, po zdobyciu niewielkiej ilości metalu, jadą dalej przepijać go w jakiejś odosobnionej wiosce, gdzie chłopci fabrykują spirytus z jagód i z ziemniaków, sprzedając mętny, trujący napój na wagę złota. Te uzbrojone bandy rozbójnicze, nie podlegające żadnym prawom, są bardzo niebezpieczne. Spotkanie z nimi grozi śmiercią.

W trzy dni dojechaliśmy do przejścia górskiego Czokur, prowadzącego przez główny grzbiet Sajanów, przedostaliśmy się na przeciwległy brzeg rzeki Ałgiak i od tej chwili byliśmy już w granicach Urianchaju.

Ten kraj zadziwiający bogactwem, zaludniony przez 60,000 wymierających Sojotów, mówiących językiem całkiem odrębnym od mowy innych mongolskich szczepów i szczyjących się tem, że przez długie wieki przechowywali ideały odwiecznego pokoju, jest miejscem zakusów władz administracyjnych rosyjskich, mongolskich i chińskich. Sąsiedzi dawno rządzą się, jak szare gęsi w Urianchaju, Sojoci zaś spokojnie płacą podatki wszystkim trzem.

Łatwo więc zrozumieć, dlaczego ta „zagranica” nie mogła jeszcze być dla nas portem zbawienia. Słyszeliśmy już przedtem od dozorca milicji o projektowanej wyprawie do Urianchaju, a od Rosjan w Urianchaju dowiedzieliśmy się, że niektóre wsie ukraińskie na Małym Jeniseju (czyli Khua-Kem) sformowały oddziały partyzanckie, które zamykały

południową granicę kraju, grabiąc i zabijając podróżnych. Przed kilku tygodniami partyzanci zabili sześćdziesięciu dwóch oficerów, przekradających się do Mongolji, zrabowali i zabili kupców chińskich, prowadzących z sobą karawanę z towarami, zabili kilku niemieckich jeńców wojennych, zmykających z sowieckiego „raju”. Możliwość spotkania tych bandytów nie wróżyła nam nic dobrego. Należało się mieć stale na baczności.

Po czterech dniach drogi dostaliśmy się na błotnistą dolinę, gdzie pośród młodego lasu stała pojedyncza osada kolonisty rosyjskiego. Tu odprawiliśmy naszego przewodnika, który obawiał się, że śnieg pokryje przejście przez Sajany, a wtedy do zimy musiałby wyczekiwać sposobności powrotu do domu.

Dalej do rzeki Sejbi miał nas przeprowadzić właściciel osady, namówiony przez naszego przewodnika.

Konie nasze były zmęczone i, chcąc nie chcąc, trzeba było dać im wypoczynek i trochę je odżywić. Postanowiliśmy spędzić tu cały dzień, a może nawet i dwa.

Nazajutrz przewodnik odjechał, życząc nam pomyślności i zdrowia.

Nie minęło godziny, gdy mała córeczka naszego gospodarza klasnęła w dłonie i zawołała:

– Sojoci przyjechali!

Do izby jeden po drugim weszło czterech Sojotów w filcowych kołpakach, i ze strzelbami w ręku.

– Mende (bądźcie pozdrowieni)! – powitali nas przybysze i zaczęli bez ceremonji uważnie oglądać nas ze wszystkich stron. Pewno żaden ćwiek w naszych butach, żaden guzik ubrania nie uszedł ich badawczego wzroku. Potem jeden z nich, który był miejscowym naczelnikiem okręgowym, czyli „merinem”, zaczął nas wypytywać przy pomocy kolonisty, w którego domu staliśmy, o nasze przekonania polityczne i moralne. Posłyszawszy nasz sąd o bolszewikach wydawał się zadowolony i uspokojony, gdyż rzekł:

– Wy – dobrzy ludzie!... Nie lubicie „ułańów” (Ułań po sojacku – czerwony). My wam pomożemy...

Podziękowałem „merinowi” i podarowałem mu gruby sznur jedwabny, którym zwykle przepasywałem bluzę. Wieczorem Sojoci odjechali, lecz obiecali powrócić nad ranem.

Nadszedł wieczór. Poszliśmy spojrzeć na nasze wychudłe szkapy, łapczywie skubiące brunatną, lecz pożywną trawę na łące za osadą, i powróciliśmy do izby, gdzie gospodarz przyrządził już herbatę i kolację.

Rozmawialiśmy wesoło i swobodnie z rodziną gospodarza, gdy nagle rozległy się szczękania podków, głuche głosy ludzi, i po chwili do izby jeden po drugim weszło pięciu chłopów z karabinami w ręku i z szablami przy boku. Coś zimnego i łechcącego chwyciło za gardło, a serce zaczęło tętnić. Odrazu poznaliśmy w przybyszach czerwonych żołnierzy. Na futrzanych czapkach mieli czerwone gwiazdy, a na rękawach czerwone opaski. Byli to ludzie z oddziału karnego, ścigającego oficera kozackiego, o którym nam opowiadał w Kozubarze dozorca milicji.

Podejrzliwie nas oglądając, zaczęli się rozbierać i w milczeniu usiedli przy stole. Wszczęliśmy rozmowę pierwsi, niby odniechcenia objaśniając cel naszej ekspedycji „budowy mostów i szos” i ostrożnie wypytyując przybyszów. Dowiedzieliśmy się, że wkrótce tu nadciągnie z siedmiu jeźdźcami dowódca oddziału, który ma rozkaz dla właściciela osady, aby ten poprowadził ich na Sejbi, gdzie się ukrywa kozak. Natychmiast z radością w głosie zawołałem, że nasze sprawy układają się bardzo szczęśliwie, gdyż możemy jechać razem. Na to jeden z żołnierzy zagadkowym głosem zauważył:

– Wszystko rozstrzygnie towarzysz-oficer...

W tej chwili wszedł nasz przyjaciel, sojocki „merin”. W ten sam sposób, jak nam w dzień, zaczął się przyglądać bacznie przyjezdnym, a potem ponurym głosem zapytał:

– Jakim prawem zabraliście Sojotowi dobrego konia, pozostawiając mu chorego i słabego?

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

– Pamiętajcie, że jesteście w obcej ziemi, gdzie są inne prawa i obyczaje! – rzekł „merin”, a w jego głosie brzmiała groźba.

– Stul gębę i wynoś się do diabła! – krzyknął jeden z bolszewików.

Lecz Sojot zupełnie spokojnie usiadł przy stole, a gospodyni niezwłocznie przysunęła mu kawał chleba i duży kubek herbaty. Rozmowa się urwała. Sojot napił się herbaty, wypalił swą długą i cienką fajkę, wstał i rzekł nie zwracając się do nikogo:

– Jeżeli jutro rano koń nie będzie zwrócony właścicielowi, sami go odbierzemy.

Odwrócił się i spokojnie opuścił izbę.

Natychmiast zauważyłem wyraźną trwogę na twarzach bandytów sowieckich. Starszy żołnierz rozstawił patrole dokoła osady, i wszyscy spuściwszy głowy siedzieli w przykrem zamyśleniu.

Późno w nocy przyjechał oficer z siedmiu jeźdźcami. Po raporcie starszego o zajściu z „merinem” oficer zachmurzył czoło i rzekł głosem, zdradzającym niepokój:

– Żle... źle! Musimy przedzierać się przez takie topielisko, a tu ci za każdym krzakiem i kamieniem będą czyhali Sojoci. Oj, źle, towarzysze...

Oficer coraz bardziej trwożył się i pochmurniał, i dlatego, nie zwracał zbytnio na nas uwagi, tembardziej, że zacząłem go uspokajać i obiecałem pośrednictwo pomiędzy oddziałem a Sojotami. Był to niepiśmienny, ponury chłop ukraiński, który chciał się odznaczyć przed sowietami ujęciem znenawidzonego kozaka, lecz obawiał się, że Sojoci przeszkodzą mu w szybkim dotarciu do rzeki Sejbi.

O świcie byliśmy już na koniach, jadąc razem z czerwonymi zbójami. Gdy odjechaliśmy kilkanaście kilometrów, niespodziewanie z krzaków wynurzyło się dwóch jeźdźców sojockich. Za plecami mieli swe dziwaczne strzelby skałkowe o malutkiej płaskiej kolbie z widelkami dla oparcia o ziemię przy strzale, który nigdy nie chybia celu.

– Poczekajcie! – rzekłem, zatrzymując oficera. – Pojadę rozmówić się z Sojotami.

Szybko popędziłem naprzód. Jeden z Sojotów był to „merin”, drugi – nieznajomy tubylec, mówiący łamanym językiem rosyjskim.

– Trzymajcie się z tyłu oddziału – szepnęła, zanurzając w moich oczach swój rysi wzrok – i pomóżcie nam.

– Dobrze! – zgodziłem się natychmiast – lecz pogadajmy dłużej, żeby tamci myśleli, że omawiam z wami ich sprawę.

Niebawem, uściśnałem dłonie Sojotów i powróciłem do oddziału.

– Możemy jechać – zawołałem. – Sojoci nie będą przeszkadzali.

Ruszyliśmy i, gdy przejeżdżaliśmy przez rozległą polanę, spostrześliśmy obydwóch Sojotów, całym pędem koni mknących stromym spadkiem góry. Niepostrzeżenie wykonałem odpowiedni manewr i obaj z moim towarzyszem podróży pozostaliśmy w tyle oddziału wraz z naszym koniem ciężarowym. Za nami jechał tylko jeden żołnierz – ponure chłopisko, patrzące na nas bardzo nieprzychylnym wzrokiem.

Zdażyłem szepnąć swemu towarzyszowi jedno słowo: „Mauzer” i zauważyłem, że ten wnet ostrożnie odpiął torbę kulbaki i wysunął nieco rękę pistoletu.

Wkrótce zrozumieliśmy, dlaczego ci żołnierze, wytrawni, leśni włóczęgowie, nie odważyli się iść na Sejbi bez przewodnika. Doliny Ałgiaka i Sejbi są przedzielone szeregami wąskich grzbietów górskich, pomiędzy którymi leżą głębokie i szerokie wąwozy z grząskami, niebezpiecznymi torfowiskami. Było to wielkie topielisko, bagno bezdenne, jakieś martwe, przekłute miejsce. Konie grzęzły do kolan, padały, płały się nogami w sieci korzeni, zanurzonych w grząskim torfie, przygniatały jeźdźców, gryzły się, chrapały, rwały rzemienie i popręgi. Coraz częściej konie zanurzały się w bagnie prawie do kolan jeźdźcy. Mój wierzchowiec wpadł do jakiegoś dołu, wypełnionego rudą, cuchnącą wodą. Nieszczęśliwy koń ugrzązł tak głęboko, że moja pierś już dotykała powierzchni wody. Wyratowaliśmy się z wielką trudnością. Po mnie natychmiast runął wraz z koniem oficer bolszewicki, kalecząc